

Agnieszka Kołakowska: O europejskiej cywilizacji

Wiemy, czym Europa była kiedyś; i kiedyś wszyscy wiedzieliśmy, czym jest. Kiedyś obszar, który dziś nazywamy Europą, był znany jako świat chrześcijański. Jak późniejsze pojęcie Europy, nie było to określenie czysto geograficzne; było zarazem historyczne i kulturowe, polityczne i, rzecz jasna, religijne (...). To dziedzictwo jest nasze, ale nie mamy prawa tego mówić. Nie mamy też prawa tego dziedzictwa bronić – pisze Agnieszka Kołakowska specjalnie dla Teologii Politycznej Co Tydzień nr 85 pt. Po co nam cywilizacja?

Europejska kultura, cywilizacja zachodnia, cywilizacja judeochrześcijańska, tradycja jude-ochrześcijańska, wartości judeochrześcijańskie... Zwrotów tych – i może jeszcze kilku innych – często używamy wymiennie, i choć ściśle biorąc (choć nie ma tu nic ścisłego) są to wszystko różne aspekty jednego pojęcia, trudno zdefiniować, czym właściwie jest to pojęcie i jakie mianowicie są to aspekty. Trudno i – przynajmniej dla obecnych potrzeb – nie warto. Nie są to terminy ścisłe i nie jest to nauka ścisła. Nie trzeba się trudzić mozolnymi próbami definiowania pojęcia cywilizacji czy kultury; wiemy, co to jest. Wiemy, czym jest nasza cywilizacja. I wiemy, że ta cywilizacja – europejska, zachodnia, judeochrześcijańska – jest nasza. Ale w dzisiejszym klimacie wszystko, co nasze, jest złe i potępiania godne – jako kolonialne, rasistowskie, elitarne, patriarchalne, imperialistyczne, fałszujące historię, eurocentryczne, mizoginiczne i niesprawiedliwe dla ludzi trans-gender. Modne dziś wśród

postępowców pojęcie intersekcjonalności sprawia, że wszystkie te przymiotniki mają właściwie to samo znaczenie, mianowicie: złe. Cywilizacja chyba też z definicji jest złem, bo pojęcie to ugina się pod postrzeganym ciężarem eurocentrycznych (itd. itp.) założeń. Tudzież kultura, chyba że w sensie czysto antropologicznym, do którego zresztą została dziś, wskutek tych postępowych zastrzeżeń i relatywistycznych mód, sprowadzona.

Warto natomiast zastanowić się nad tym, czym jest dziś Europa. I nad tym, czym nie jest. Nie jest Europa mianowicie – i to jest najważniejsze – Unią Europejską. To trzeba powiedzieć od razu i dobitnie. Europa, o której mówimy, z unijną wizją Europy nie ma nic wspólnego. Tyle negatywnej definicji.

Wiemy, czym Europa była kiedyś; i kiedyś wszyscy wiedzieliśmy, czym jest. Kiedyś obszar, który dziś nazywamy Europą, był znany jako świat chrześcijański. Jak późniejsze pojęcie Europy, nie było to określenie czysto geograficzne; było zarazem historyczne i kulturowe, polityczne i, rzecz jasna, religijne. Na tym obszarze odbywały się procesy, które zwiemy Renesansem, Reformacją i Oświeceniem; na tym obszarze wyrosła demokracja i kapitalizm, indywidualne wolności i myśl polityczna, rzymskie prawo i grecka filozofia, podział między kościołem a państwem, podział między sferą publiczną a prywatną. To dziedzictwo jest nasze.

To dziedzictwo jest nasze, ale nie mamy prawa tego mówić. Nie mamy też prawa tego dziedzictwa bronić. Tak już jest od dość dawna, wskutek czego prawie nikt już o Europie nie wie. Nie uczy się o niej w szkołach, odrzuca się ją z pogardą i nienawiścią na uniwersytetach. Nie uczy się o

*Europa Merkel i Macrona jest
bytem czysto geograficznym:
bez historii, bez kultury, bez
wartości*

niczym, co jest
postrzegane jako złe
- złe bo nasze, i jako
nasze,
imperialistyczne,
białe i kolonialne,
odpowiedzialne za
wszystkie zła i plagi

świata. Nie tylko w szkołach i nie tylko na wykładach uniwersyteckich; w dziedzinach humanistycznych, zwłaszcza wśród historyków (bo o tym, co się dzieje na wydziałach literatury, wiemy od dawna, i dzieje się to od dziesięcioleci), autorzy prac, postrzeganych przez strażników politycznej poprawności jako „eurocentryczne”, są narażeni na poważne kłopoty. Dziś trzeba, innymi słowy, fałszować historię. Jeden przykład spośród wielu: kilka miesięcy temu na międzynarodowym sympozium mediewistów wybuchła awantura o to, że za mało jest prac, poruszających tematy takie, jak rasizm, gender albo „inność” w średniowieczu. Doszło do ostrych ataków i ostracyzmów. Przerażeni młodzi historycy, chcący zrobić karierę w swojej dziedzinie i nie mający jeszcze stałej pracy, potulnie przepraszają za swoje ideologiczne błędy i wypaczenia i „nieodpowiednie” prace chowają do szuflady. Coraz mniej sięga do pierwotnych źródeł; coraz więcej zajmuje się „repcją” albo „globalną historią”, bo tak jest bezpieczniej (i przy okazji o wiele łatwiej).

Wszystko, co nasze, jest skażone i musi być potępione, odrzucone i wymazane z historii. Taki jest zamiar postępowej lewicy. Taki też jest, w sporej mierze, zamiar ideologów Unii Europejskiej. Zadanie to jest dość łatwe, skoro nikt już o tej historii nie wie albo nie pamięta.

Dlatego, jeśli zależy nam na ocaleniu naszej cywilizacji, ważne jest przypomnienie, na czym ta cywilizacja polega. Nikt tego za nas nie zrobi: skoro o cywilizacji w ogóle nie wolno mówić, tym bardziej nie wolno jej definiować. Ale – powtarzam – nie chodzi o to, żeby definiować, czym jest cywilizacja i zastanawiać się, czy oto właśnie nadchodzi jej zmierzch i jeśli tak, to dlaczego. Jest to przedsięwzięcie absurda i jałowe, skazane na niepowodzenie.

(Dygresja w nawiasie: można by nawet zaryzykować tezę, że jeśli w ogóle zadaje się takie pytanie, to znaczy, że już jest za późno: że jeśli cywilizację trzeba definiować, to znaczy, że jej już nie ma. Jako teza ogólna to chyba nie całkiem prawda: są momenty, kiedy trzeba się definiować wobec wroga – wewnętrznego czy zewnętrznego. Kościół w ten właśnie między innymi sposób – zwalczając herezje – stopniowo się określał i ustalał swoją ortodoksję. Ale negatywne definiowanie się, to znaczy określanie się wobec wroga i budowanie w ten sposób swojej tożsamości, to jednak nie to samo, co definicja pozytywna. Unia Europejska, na przykład, w postaci swoich komisarzy i ideologów, określa się czysto negatywnie. Tożsamość europejska jest warta pozytywnej definicji – jeśli znajdujemy się właśnie w takim momencie, w którym potrzeba takiej definicji zaistniała. Bardzo możliwe, że tak jest. O czym za chwilę.)

Wiemy, czym jest nasza cywilizacja i na własne oczy widzimy, na czym polegają próby jej zniszczenia. Zastanawianie się, czy nasza cywilizacja zmierza i czy winę za to ponosi sekularyzacja, czy zanik „duchowości” (często taką tezę słyszałam ale nie mam pojęcia, co to znaczy ani tym bardziej jak to stwierdzić; nie wiem, czym jest duchowość ani jak się przejawia jej zanik), czy jest tak jak z Rzymem,

czy wcale nie tak jak z Rzymem tylko zupełnie inaczej, nie będzie owocne – chyba, że za kryterium owocności przyjmujemy ilość artykułów o tym, czy Spengler miał rację czy nie. Ale nie o to nam chodzi; i skoro nie sposób ustalić, czy Spengler miał rację czy nie, pytanie jest bezsensowne.

Zadane pytanie brzmi: „Czy dzisiejsza Europa dostrzega czy się wystrzega potrzeby definiowania cywilizacji i płynących z tego konsekwencji?” Nie jestem pewna, jakie mogłyby być konsekwencje definiowania (zły stopień? wycięczenie umysłowe? odrzucona habilitacja?); może chodzi o to, że, zdefiniowawszy i zdawszy sobie sprawę z tego, czym jesteśmy, czym byliśmy i czym chcielibyśmy być, będziemy umieli mocniej się z tym czymś utożsamiać i skuteczniej tego czegoś bronić. Może chodzi też o (słuszną) związaną z tym obawę, że Unia Europejska definiowania nie lubi i nie będzie na nie patrzeć przychylnie. Nie chodzi jednak, rzecz jasna, o jałowe przedsięwzięcie definiowania cywilizacji w ogóle, lecz o zdefiniowanie naszej w odróżnieniu od innych. I nie tylko negatywnie w stosunku do nich, lecz pozytywnie: czym jesteśmy i czym chcemy być?

Unia Europejska tępi i odrzuca wszelkie dążenia ze strony Europejczyków do afirmacji swojej historycznej europejskości

Co do pierwszej części pytania, trzeba raz jeszcze powtórzyć, że Europa, o której mówimy, z ideologią Unii Europejskiej na temat tożsamości

Europy nie ma nic wspólnego. Unia Europejska tępi i odrzuca wszelkie dążenia ze strony Europejczyków do afirmacji swojej historycznej

europiejskości – do afirmacji, że ta kultura, ta cywilizacja, jest nasza, że jest warta obrony, że mamy prawo się z nią utożsamiać, że jej tradycje i wartości – tradycje i wartości, w których się wychowaliśmy – są dla nas podstawowe, i że – co w chwili obecnej najważniejsze – mamy prawo bronić się przed próbami zastąpienia jej przez coś innego. Europa Merkel i Macrona jest bytem czysto geograficznym: bez historii, bez kultury, bez wartości. Tę historię, kulturę i wartości trzeba dopiero – według nich – stworzyć, tak aby harmonijnie się zgrały z wszelkimi innymi wartościami, tradycjami, historiami i kulturami. Jest to, rzecz jasna, projekt skazany na niepowodzenie. Dlatego trzeba fałszować historię, zaprzeczać, jakoby istniała europejska kultura, wymazywać tradycje. Jedyną historyczną cechą Europy, o której wolno wspominać, którą wręcz należy w kółko podkreślać, to jej otwartość i zdolność czerpania z innych kultur i wzbogacania się przez nie. Napisał o tej zdolności świetną książkę wielki historyk idei Remi Brague, ale nie jest to książka, która zyskałaby uznanie Brukseli, nie ma w niej bowiem nic o Europie jako „multikulturalnej” ale zarazem neutralnej przestrzeni, otwartej na wszystko i gotowej pozwolić na zniszczenie swojej kultury na korzyść innych.

Oczywiście Unia Europejska wystrzega się też tych konsekwencji, o której mowa powyżej: pierwszą bowiem rzeczą, jaką nam uświadomi próba zastanowienia się nad europejską tożsamością, to fakt, że – owszem, istnieje coś takiego. Już samo to jest dla ideologii Unii niebezpieczne. Widać więc coraz wyraźniej, że oto nadszedł ten moment, kiedy należałoby się nad tożsamością europejską zastanowić.

Co do konfliktów między elementami tej tożsamości, zależy to – jak zawsze i wszędzie – jak się na nie patrzy. (Prócz tego odkryłam też, że wszystko jest bardzo skomplikowane; wspomniałoby się dzielę się tym

rewolucyjnym odkryciem.) Jeśli chcemy wszystkie te elementy ściśle zdefiniować, to – owszem, od konfliktów się roi. Ale próba ścisłego ich definiowania jest tak samo absurdalna i jałowa, co próba definiowania cywilizacji. Skrajne spojrzenie - zarówno uznanie, jak ideolodzy unijni, że Europa jest i zawsze była otwarta na wszystko bez ograniczeń, jak też, jak ideolodzy skrajnej prawicy, że jest ona i zawsze była dobrze zdefiniowana etnicznie, religijnie itp. – daje zafałszowany, wypaczony obraz. (Należy też zauważyć, że żadna z tych dwóch stron na ogół nie ma pojęcia o historii Europy.) Można też, oczywiście, mówić o konfliktach, w życiu politycznym Europy i jej myśli politycznej, między równością a wolnością, między prawami jednostki a dobrem ogółu, itd. itp., ale ufam, że nie o takie konflikty tu chodzi, i nie są to konflikty, które w jakikolwiek sposób osłabiają nasze poczucie europejskiej tożsamości czy utrudniają jej definicję: te konflikty są, przeciwnie, jej ważną, podstawową częścią.

Wszystko, co nasze, jest skażone i musi być potępione, odrzucone i wymazane z historii. Taki jest zamiar postępowej lewicy. Taki też jest, w sporej mierze, zamiar ideologów Unii Europejskiej

Jakie wnioski z tych mglistych i rozwlekłych rozważań wyciągnąć? (Prócz tego, że wszystko jest skomplikowane i że lepiej być bogatym i zdrowym niż chorym i

biednym.) Chyba głównie takie, że – owszem, nadeszła pora, by zastanowić się nad tym, czym jesteśmy i czego chcemy bronić, ale trzeba też się wystrzegać zbyt łatwych, zbyt wąskich, ahistorycznych czy tendencyjnych i historycznie wybiórczych definicji. Mam przez to na myśli, na przykład, narzucanie Europie tożsamości całkowicie

chrześcijańskiej (pomijanie części „judeo-“ w „judeochrześcijaństwie”), czy wręcz całkowicie katolickiej (pomijanie historii Europy po Reformacji i wszystkich nurtów społeczno-politycznych, które wyrosły z Protestantyzmu lub były z nim związane: tych wolnościowych, indywidualistycznych, nieufnych wobec autorytetów, nawet – można argumentować – wolnorynkowych). Zapominanie o tradycjach i nurtach liberalnych i indywidualistycznych. Traktowanie Oświecenia jako źródła wszelkiego zła i zapominanie o tym, że Oświecenie – jak Reformacja, jak Renesans – było zjawiskiem wybitnie europejskim, współstanowiącym to, czym jest Europa. Innymi słowy, całkowite odrzucanie wszystkich elementów postępowych dyskursów o otwartej, „tolerancyjnej”, dzielnie zwalczającej „ksenofobię”, islamo-przyjaznej czy wręcz historycznie równie islamskiej co judeo-chrześcijańskiej Europie i w tej przesadnej reakcji wypaczanie rzeczywistości nie mniej niż politycznie poprawna, unijna wizja Europy. Jeszcze jeden przykład takich tendencji w pracach historyków: od lat politycznie poprawne (to znaczy prawie wszystkie) prace historyczne o Al Andalus pod muzułmańską władzą opiewały tak zwaną „conviviencia”: panowała pełna harmonia, żydzi i chrześcijanie byli traktowani znakomicie, kobiety miały mnóstwo praw i wszyscy razem pili wino i pisali piękne wiersze. Rzeczywistość była nieco inna, jak pokazują tysiące źródeł, i w dzisiejszym klimacie trzeba niemało odwagi, żeby to powiedzieć, ale nie znaczy to, że należy pisać książki (jestem właśnie po przygnębiającej lekturze jednej takiej) twierdzące, że była ona bez reszty okropna, dla żydów i dla chrześcijan, zawsze i wszędzie. Prawda nie zawsze leży pomiędzy, bo leży tam, gdzie leży, ale w tym przypadku rzeczywiście tam leży; jest bardziej skomplikowana i złożona.